NUMER 9. DNIA 28. LUTEGO 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

BRONISŁAW SZWARCE.

Bretanja — zielona, skalista, dzika, smagana falą burzącego się oceanu — była Mu piastunką pierwszą. Była piastunką dobrą, choć surową: podmuchami wichrów ostaliła nerwy przybranego Syna, — dała Mu nieugiętą oporność skał granitowych, nauczyła patrzeć bez mrużenia powiek w przepastne głębie, zawrotne wiry, nieścigłe dole, — napoiła źrenicę barwą zieloną — nadziei barwą.



A rodzice-tułacze wkładali w duszę młodą to, czego Bretanja dać nie mogła: Miłość ojczyzny dalekiej, nieznanej — nienawiść buntowniczą dla depcącego ją najazdu.

Matka, artystka, rozmarzała wyobraźnię dziecka pieśnią Szopena o tęsknicy pól mazowieckich, o smętnych widmach-mgłach, co się słaniają nad niemi w blaskach księżyca, — ojciec, żołnierz-rewolucjonista, stroił ją wysoko opowieścią o Wielkiej Nocy Listopada, o krwi Grochowa, wawrzynach Dębu i dębach Wawru, — opowieścią „z łez, z ognia, z żelaza".

Potem znalazł się w wielkiem mieście, w Paryżu, „stolicy świata". Uczył się. Z ksiąg czerpał mądrości skarby...

Nagle uderzyła fala życia, potężna, rozdąsana, jak Atlantyk u brzegów Bretanji.

Wiosna ludów! Wichry nowych myśli — Pioruny, bijące w trony — Błyskawice krwawe, szerokie — I dziejów wiew — i „ludu gniew".

Wiosna ludów! pod jej tchnieniem gorącem rozemknęła się z pąka i zakwitła dusza dziecka. Uniesienie porwało i rzuciło na barykady czternastoletnie pacholę...

Pierwszy chrzest ognia — pierwsza ofiara.

I znowu dni cichej pracy: kształcenie woli, wzbogacanie umysłu, nabywanie wiedzy fachowej, trzeźwej, opartej na naukach ścisłych,— na cyfrze, na rachunku opartej.

A dokoła świat zimny — obcy. Za cały majątek „dwa doły": grób matki w Bretanji i ojca w Paryżu. Dokoła tłum obojętny, a wśród niego jedna tylko twarz swoja, mądra i skupiona, kochająca i kochana — twarz opiekuna Litwina.

Nie w Paryżu — w stolicy niemieckiej nad modrym Dunajem dobiegła Go wieść o budzeniu się Warszawy, o tłumach rozmodlonych, z płaczem wołających po świątyniach: „Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić, Panie!" — o hymnach rycerskich, bi-

jących w niebiosa z piersi wielotysięcznej, — o procesjach — i krzyżach porąbanych — i krwią zbroczonych trupach...

Wieść ta zabrzmiała w Jego duszy, jak hasło, jak okrzyk bojowy, jak pieśń wabiąca. Rzucił wszystko bez wahania i znalazł się w Warszawie.

Przybywał do Ojczyzny nieznanej, aby oddać jej siły i serce, — przybywał z ofiarą życia młodego. I tu, na gruncie, drżącym od ognia kryjących się wulkanów, zakwitły dla Niego złote kwiaty szczęścia — pierwsze i ostatnie, — ale niezwykłe, ale czarownie piękne.

Żył wzniosłem życiem pracy, poświęcenia, ofiary dla celów wysokich, promiennych; władał duszami współbraci, żarem własnej piersi rozgrzewał zimniejsze serca i porywał je za sobą — w górę! — otaczała sierotę - tułacza rajska atmosfera uczuć, dotąd nie zaznanych: pokrewieństwa, przyjaźni, braterstwa, miłości; czuł się w domu, u siebie, z swoimi; marzył o walce bohaterskiej za Wolność i Ojczyznę, za skarby najdroższe i najświętsze prawa narodu — ludzkości.

Uwięzienie położyło nagle kres działaniu, odcięło od świata, od najdroższych, — zgasiło wszystkie tęcze, wszystkie gwiazdy na niebie marzeń.

Ciasna cela więzienna — Samotność — Badania inkwizytorskie — Wyrok śmierci. Skazanie na stryczek — na szubienicę...

Ale szybki, choć okrutny, zgon nie był Mu sądzony. W księdze przeznaczeń stało inaczej. Los miał dla Niego kielich goryczy bezdennie głęboki. Cytadela warszawska, widmo śmierci męczeńskiej lecz chlubnej — to były jeno pierwsze krople tego kielicha, krople najsłodsze...

Zielona nadzieją Bretanja stanęła w obronie przybranego syna. Francja upomniała się o swego obywatela...

Mara śmierci znikła z przed oczu skazańca. Cytadelę warszawską zastąpił Szlyselburg, głębszy krąg piekła, przez które miał przejść za życia.

Jezioro Ładoga — olbrzymia masa wody, marznącej, wiecznie zmarszczonej, ołowianej, jak niebo północy ponad nią. Wśród jeziora wyspa — na niej „sekretny“ zamek średniowieczny, przeznaczony dla najcięższych przestępców, najbardziej niebezpiecznych wrogów caratu.

W murach granitowego zamku upłynęło Mu siedm lat. I nigdy — ani wiosną, kiedy słońce wzbija się najwyżej, ani jesienią, kiedy skośne jego światło wydłuża smugi złote — nigdy najmniejszy jego promień nie zapadł do celi więźnia, jak grób ciasnej i mrocznej, jak grób milczącej, tylko nie takiej spokojnej. I nigdy też — przez wszystkie lata — nie usłyszał dźwięku życzliwego głosu, nie ujrzał twarzy innej, niż twarze sług carskich, — carskich posiepaczy — Nigdy — ani razu!

Jedyną przyjemnością dla ucha były dźwięki własnego jego głosu, śpiewającego pieśni rewolucyjne — jedynem weselem oczu — chora jarzębinka w podwórzu — białe króliki, trwożnie zapadające w ziemię i stado gołębi, które okrywały go nieraz chmurą skrzydeł drżących, słodziły samotność, dawały ochłodę chwilowego zapomnienia, jak litościwe Oceanidy przykutemu do skały Prometeuszowi.

A bura, zimna, zdradliwa Ładoga wysysała zwolna, lecz bez przerwy siły młodego ciała, aż złamało się bólem okrutnym, aż poddało ciężkiej chorobie.

Ale nie poddał się duch; owszem w mękach wielmożniał, w tytanicznyzh zapasach z hydrą zwątpienia rósł w moc i odpierał zwycięzko pokusy. A pokus nie brakło: dwa razy w ciągu ostatnich lat zamknięcia skazany na dożywotnią mękę więzień mógł otworzyć sobie bramę zaklętego zamku i wrócić do świata żyjących, — dwa razy — i to za marną cenę, — za cenę obietnicy, wymuszonej — a więc wedle rozciągliwych sumień — do niczego nieobowiązującej, że wróci do Francji, że zrzeknie się walki z caratem. Dla Niego jednak była to cena tak olbrzymia, że na szalę rzucona, przeważyła wszystko inne. On nie znał kompromisów ze sobą samym. Wolał mękę powolnego konania, niż akt skruchy przed despotą, przed wrogiem Polski, wrogiem wolności. I dopiero wyrok lekarza: „Nie będzie żył“ — uwolnił Go ze Szlyselburga, gdzie w ciągu ostatnich lat trzech sam był tylko — sam.

I znowu odwróciły się karty w księdze Jego przeznaczeń.

Bezmierne przestrzenie Azji — Otchłanie rzeźwiącego powietrza — Powrót do zdrowia — Pobyt na dalekim wschodzie, w twierdzy samotnej na granicy Chin. Po tem zbliżeniu się do miejsc bardziej zamieszkałych znowu praca konspiracyjna, tajna, dla obalenia caratu z dumnem wyzwaniem w duszy i na ustach: „Nie dbam, jaka spadnie kara: mina, Sybir, czy kajdany“ — W następstwie więzienie w Tomsku, trzecie z rzędu — ohydne — okropniejsze od tamtych, zaludnione larwami wyobraźni, znękanej chwilowo aż do halucynacji — dno piekła — Potem wygnanie na dalsze jeszcze kresy — Tam — przystań zaciszniejsza, chwila wytchnienia po dwudziestu latach męki — Uśmiech losu pod postacią dziatek, ukochanych nad wszystko, gruchających, niby gołąbki na Ładodze.

Uczył je mowy polskiej słowami modlitwy, opowiadał o kraju dalekim, o Polsce, do której Jego dusza, jak dusza Anhellego, wracała po drżących promieniach tęsknoty.

I jeszcze raz odwróciły się karty w księdze Jego przeznaczeń.

Powrót do Ojczyzny z trojgiem drobnych dzieci, z których najstarsze miało siedm, najmłodsze cztery lata. Podróż przez Azję i Europę przez piaski bezwodne i bezludne pustynie, przez stepy, wąwozy i rzeki ogromne, morzom podobne — podróż pełna przygód, scen rozrzewniających i tragicznych wypadków. A potem pobyt wśród swoich. Praca na chleb ciała i „na chleb zbawienia“ — praca, podejmowana z zapałem i wiarą, co góry przenosi.

W końcu zachód posępny burzliwego dnia życia — Walka z chorobą okrutną — ostatnia walka — ale pierwsza, z której nie wyszedł zwycięzcą...

Po śmierci — chwała.

Tłum wielotysięczny — jęki dzwonów — krepy żałobne i wieńce — sztandarów pokłon — pieśni bojowe — słowa czci i hołdu.

A w sercu tych, którzy go znali i wielbili, żałoba smutku bez granic i światłość pamięci wiekuistej....

M. W.

Studja nad budownictwem drewnianem.

(Ciąg dalszy.)

Natomiast bez zastrzeżeń zgodzić się należy z przypuszczeniem, na które niezależnie wpadliśmy obaj, że „*typ symetryczno - dwurzędny rozwinął się na naszym gruncie, powstając z zesunięcia dawnej jednokomórkowej chaty* (izba czarna), *z klecią czyli spichrzem* (izba biała)“. U mnie hipoteza ta wyprowadzona jest ze zesunięcia dwóch klet jednoizbowych podcieniami do siebie.



Chata huculska.

Pociągającem jest oparcie domów podcieniowych o zesunięte dwie chaty zagrodowe (sień, izba czarna i biała) z przysuniętą sienią, na której w kształcie bramy wjazdowej odbija się powstanie z wrót, wiodących na podwórze zagrody.

Nadmienić muszę, że z tych typów domów podcieniowych, które ja miałem do rozporządzenia, zdawało mi się, że lepiej jest je wywieść z typu chaty, który uważam za Karłowiczem za starszy, to jest tej z wejściem od czoła.

Przy sposobności omawiania konstrukcji podcienia, przychodzi autor do ciekawego przypuszczenia, że „chata symetryczna dwuizbowa posiadała niegdyś przyłap wzdłużny“. Chata z gór skolskich i huculskich, z okolic Jaremcza i chaty z okolic Kossowa poznane przezemnie zachowały po dziś dzień to, o czem mówi p. Puszet, tak że jego przypuszczenie zdaje się nie ulegać wątpliwości.

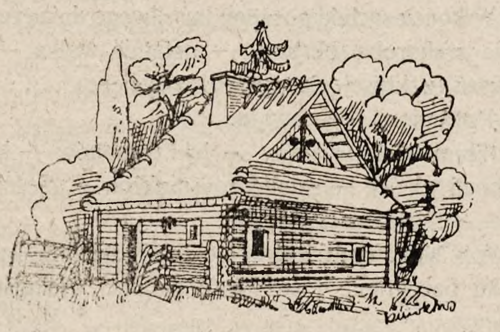
Uwagi dotyczące odrzwi, „ocapów i psów“ są słuszne, jakoteż rodowód drzwi rozwiniętych jest pomyślany i zestawiony bardzo dobrze.

Co do powały i sosrębu, to p. Puszet stawia następującą teorję, o ile z moich prac wynika pozbawioną podstawy, zresztą wypowiedzianą przez p. Puszeta z największem zastrzeżeniem. Jest to sprawa podparcia słupem ośrodka sosrębu, którego śladem ma być gwiazda okrągła.

Byłoby to bowiem niepotrzebnym drugim czy trzecim grzybem w barszczu przy układzie naszej powały. — Aby uprawdopodobnić swoje twierdzenie, p. Puszet wywodzi z porównania z budownictwem niemieckiem istnienie „first-sulu“ czyli „magan-sulu“ podpierającego najwyższą górną płatew kalenicową. Śladem tej płatwy kalenicowej ma być ów trójkątny otwór na krańcach kalenicy w szczycie dachu.

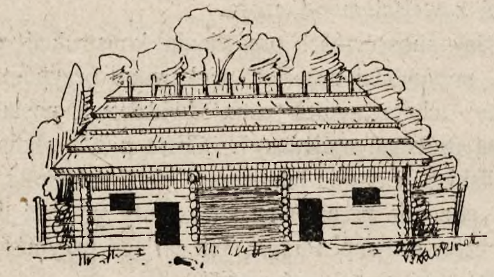
Wprawdzie prostszem jest przypuszczenie, że ów otwór jest koniecznym otworem dymnikowym,

ale ono nie przemawia do autora „Chaty“ dość przekonywująco. Uczynienie dymnika w szczycie bocznym dachu nawet w mieszkaniu najpierwo-



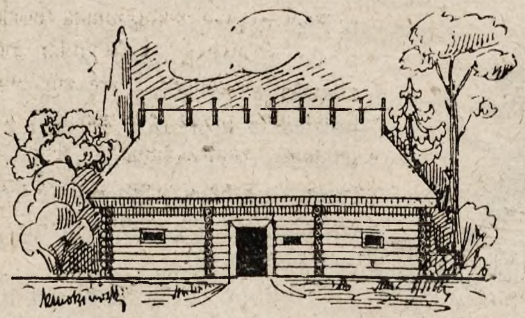
Chata z Podlasia.

tniejszem bezpowałowem jeszcze, jaką jest staja huculska, dalej w szeregu chat strzechą opatrzonych gdzie ten dymnik jest jeszcze na wskróś zarodkowej



Chata pokucka.

postaci (w okolicy Starego Sioła pod Lwowem i w Mościskach), dalej czoła szczytowe na Huculszyźnie, gdzie się je widzi od najprostszej formy



Chata litewska.

to jest od trójkątnego otworu, aż do najwięcej ozdobnej, świadczyłyby dowodnie o mylności sądu p. Puszeta. C. d. n.

K. MOKŁOWSKI.

JAN ŚWIERK. 9)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz w wieczornej gazecie czytam:

— Na raucie, odznaczała się wspaniała tualeta różowa, panny Olgi B... córki znanego i powszechnie poważanego filantropa...

— A czy zapłaciła? pytam cioci.

— Ani centa. Jutro poszlę.

Na szczęście, za suknie posłane na prowincję przyniósł listonosz pieniądze, więc mieszkanie zapłacone i Gieni odesłała ciocia 5 zł. została jej jeszcze winna 5, ale te odda, gdy za różową suknię dostanie.

Zaczynają się już chłodne poranki. Gdy wychodzę z domu do szkoły, drżę z zimna, a niemam ani ciepłego okrycia, ani sukienki stosowniejszej na jesień. Naturalnie, iż do domu nie napiszę o tem ani słowa, ale za co ja się przyodzieję, nie umiem sobie wyobrazić.

Zbliża się pierwszy listopada. W seminarjum muszę opłacić 10 zł., na zeszyty i notatki zrobiłam długu już koronę i 20 halerzy, a na to mam dostać od cioci 8 zł.! I czy mogę brać, gdy widzę, iż ona ich niema? Wprawdzie ciocia zaręcza mi, że warta jestem 10 zł. miesięcznie, bo szyję spiesznie i zrobiłam znaczne postępy, ale jakże tu brać, kiedy ciocia nie może wybłagać znikąd pieniędzy...

A ta blondyna szkaradna nie dała do tej pory nic...

Trzy razy ciocia posyłała. Zawsze odpowiedź: jutro! jutro!

Kuzynek Jerzy, który był przedwczoraj, opowiadał z zachwytem o tej pannie. Poznał ją właśnie na raucie, prześlicznie wyglądała, czarowała wszystkich. Jestto bardzo posażna panna, a wykształcona...

O mało, że nie parsknęłam śmiechem! Przy egzaminie ja jej podpowiadałam wszystko prawie... Nie wiedziała, ile jest deklinacji... Lecz co mnie to wszystko obchodzi. Niech mają ją za bardzo wykształconą, niech się zachwycają jej pięknością, niech się w niej kochają, ja tylko chcę, aby ona cioci nie okradała w jej pracy, aby zapłaciła w sklepie za te śliczne i drogie gipiury.

Kazia jest uszczęśliwiona. Dostała lekcję. Uczy dwoje dzieci u jednego szewca, codziennie 2 godziny i ma za to na miesiąc 3 zł.

Ewcia jej zazdrości, a ja poczynam myśleć o tem, czylibym nie wyszukała dla siebie gdzie lekcji. Tylko, czy miałabym czas na to? Co dzień o 12 idę spać, po piątej wstaję...

Poznałyśmy się bliżej z jedną naszą koleżanką, którą wszyscy lubią w klasie. To Stefcia R, dzielna i zuchowata dziewczyna, a umie sobie radzić. Jej także nie przyjęli do seminarjum i także choć biedna, musi tu płacić za naukę 10 zł., ale znalazła sposób pracy nowej. Mieszka u stróża, którego żona jest praczką, więc prasuje kołnierzyki i mankiety, a to lepiej się opłaca, niż moje szycie. Zeszłego miesiąca za samo prasowanie zarobiła 11 zł.! Wyprasowała 200 par manszetów po 2 ct., to znaczy 4 zł., 400 kołnierzyków po 1 ct. to 4 zł., 47 koszul z przodami, to jej przyniosło 2 zł. 35 ct., a resztę dostała za dziecinne fartuszki.

Ciekawe to przecież, jak my, przyszłe nauczycielki ludowe, musimy ciężko walczyć i zarabiać w najrozmaitszy sposób, aby przetrwać czas nauki seminarjum i dojść do matury. Ale nie zraża nas to nic. Nie cofamy się i ani jednej z nas nie przyszło na myśl, aby szukać pracy na innem polu.

Co jednak spostrzegłam, to, że nie każdej idzie o cel pracy, a więcej o sposób do życia.

Nic dziwnego. I ta i owa, gdy widzi, jak kobiecie dotychczasowe jej zajęcia mało przynosiły dochodu, a pożerały wiele sił i zdrowia, szuka pracy bodaj takiej, która da na starość emeryturę i choć nie wiele, ale zapłaci regularnie na 1-go oznaczoną pensję.

Niejednej też wydaje się to o wiele wyższe stanowisko i lepiej cenione wśród społeczeństwa, jakoś milej nazywać się „nauczycielką“, niż „szwaczką“ lub „krawczynią“.

Dla mnie inaczej rysuje się to wszystko...

Kazia jest materjałem bardzo zdolnym. Z niej wyrobi się nauczycielka nie dla „tytułu i pensji“. Gdybym się tak nie przemęczała szyciem po nocach... o!... ileżbym ja korzystała z książek.

Czas mija szybko... ot i już chłodna, mglista, wilgotna jesień. Bruki miasta codzień zimniejsze, na ulicach coraz szkaradniej, kamienice od deszczów ciągłych przybierają jakąś barwę ponurą i ciemną. Gdy wybiegam rano do szkoły i odprowadzam Jancia, niosę nieraz w głębi duszy zaród jakiegoś buntu tłumionego, czuję jak gdyby wołanie jakiejś siły potężnej, która mnie pyta raz po raz: „więc ciągła bierność? więc zawsze tak będzie?“

I czasem zdaje mi się, stanęłabym wśród największego ruchu miasta, wyciągnęła ręce w górę i pytała wszystkich przechodzących dookoła: — Nie widzicież, ilu bosych? ilu źle odzianych? ilu wygłodzonych?...

Jancio niema płaszczyka... ja dotychczas w letniej okrywce... a wychodzimy z progu kamienicy, na której widnieje olbrzymi szyld i woła ciągle do przechodzących: „Salon mód!“

O! gdybyście wy zajrzeli dalej, po za portjery salonu... o! gdybyście wy mniej patrzyli w lustra o złoconych ramach, a poszli obaczyć pracownię krawcowej, możeby w czyjej piersi zadrgało serce, możeby owa cudna, Chrystusa słowem siana po ziemi, litość chrześcjańska zbudziła się i bodaj tyle zrobić zdołała, aby za pracę — zapłacono...

Lecz nic i nic... Rachunki są rozsyłane. Panienki spieszą do pysznych mieszkań, od jednych drzwi do drugich, dzwonią, czekają... a wreszcie ledwie tu lub tam wyżebrzą ratę małą.

Moje położenie jest nad wyraz przykre. Widzę nędzę w domu cioci... Nie wolno mi tu być ciężarem, sumienie moje ciągle burzy się i czyni mi wyrzuty. Za tych 10 zł., które ojciec przysyła cioci, nie mogę tu mieszkać. Chociaż wikt ubogi, lecz zawsze kosztuje. Pracą moją przy szyciu zarabiam 8 zł., ale wiem, iż w istocie tyle nie zarobię, więc nie powinnam brać od cioci pieniędzy. A gdy przyjdzie pierwszy grudzień i trzeba będzie zapłacić 10 zł. za naukę w seminarjum, co ja pocznę? Trzewiki zniszczone zupełnie — zimno dokucza...

Co ja pocznę?...

Czemuż, o czemuż nie otwarto nam wrót do nauki bezpłatnej! Czemuż nie pozwolono nam przytulić się bodaj w najciaśniejszym kątku, bodaj pod progami drzwi, byśmy jak najuboższe służebniczki stały i słuchały wykładu!

Jak to łatwo odczytać wyrok... „nie przyjęto“, ale jak to ciężko biednym dziewczętom walczyć o tę trochę oświaty, którą chcą zdobyć.

Idę z Janciem, mijam całe gromadki uczniów szkół średnich... iluż ich!... Czemuż im otwierają coraz nowe szkoły i coraz nowe oddziały!...

Jancio mi szepce, drżąc z zimna:

— Nie dostałem na śniadanie bułeczki...

A mnie w tej chwili zastępuje drogę Kazia i powiada:

— Czwarty dzień wychodzimy bez śniadania do szkoły...

Wchodzę do klasy. Powtarzam historję grecką przypominam lekcję matematyki...

Zimno mi... — ciemno mi...

Dowiedziałem się przypadkowo o wuju Olskim. Niema żadnego zajęcia. Był dawniej kasjerem, ale dla jakichś brudnych spraw oddalono go. Gdy żenił się z ciocią Franią nie przyznał się do tego, iż zajęcia nie ma. Inaczej ciocia nie byłaby za niego wyszła. Gdy jako panna prowadziła pracownię krawiecką wiodło jej się nieco lepiej, bo miała mniej wydatków i obowiązków. Teraz — co raz gorzej. Dzieci dorastają — jakie były zapasy bielizny czy odzieży niszczą się, wujcio wymaga co raz więcej. Opowiadała mi o tem pani Rzepkowska, dobra przyjaciółka cioci, modniarka, która także tak jak ja ubolewa nad losem biednej kobiety, ale nie ciocia pierwsza, nie ciocia ostatnia.

Pani Rzepkowska mówi mi:

— Tutaj w mieście wielu jest mężczyzn, którzy się spuszczają na zarobek kobiecy i sami nic robiąc, żądają, aby kobiety na wszystko zapracowały. Znam praczkę jedną, poczciwa i pracowita, mąż jej skończony leń, do żadnej roboty nie chce się obowiązać. Mówią też niektórzy, że kobiety odbierają mężczyznom zarobek, wciskają się w ich miejsca, a przez to źle robią. Powiedzże mi sama, czy nie muszą kobiety szukać pracy, gdy nędza gniecie, a niewiedzieć jakie jutro będzie?

— To słuszne, ale przyznam szczerze, iż nigdy nie pochwalę tych kobiet, które same zapracowując się nad siły, pozwalają mężczyznom próżnować. Pasorzyty takie powinne być karane i to ostro...

C. d. n.

Liga Gaelów w Irlandji.

(Dokończenie).

II.

Organizacja ośmiu mężów liczy obecnie przeszło 300 oddzielnych stowarzyszeń, w których spotykamy od 40 do 500 członków i więcej. Pierwsza pogawędka poufna ośmiu synów Erinu zamieniła się w wiec narodowy, w nieustającą pracę zbiorową, w której dziesiątki tysięcy bierze dziś udział. Zobaczmy teraz, jak założyciele nowej organizacji pracowali.

Czy idzie im o zastąpienie języka angielskiego językiem celtyckim? Nie! Idzie tylko o to, by przez wskrzeszenie języka historycznego Gaelów obudzić godność narodową, podkreślić charakter narodowy i uczynić Irlandczyka zdolnym do samoistnego i świadomego rozwoju. Anglja — mówi Hyde — protestant, mówi O'Hickey — ksiądz katolicki — nie tylko nie zasymilizowała nas, ale nawet nie zrobiła z nas zachodnich Brytyjczyków, zdających sobie sprawę z pokroju i potrzeby tych szat kulturalnych, które od niej zapożyczamy. Nad nami — mówi Hyde — zawisł obłok angielski, obłok, przez który Irlandczyk niczego dopatrzeć się nie może i nawet do odzwierciedlenia swej duszy nie dochodzi. Młodzi publicyści Ligi idą dalej i chłoszczą wady krajowe niemiłosiernie, nieraz nawet zbyt krwawemi uderzeniami. Jesteśmy — mówią oni — naśladowcami, którzy treści tego, co powtarzamy, nie rozumiemy. Nawet w zewnętrznej ogładzie — mówi jeden z pisarzy Ligi — małpując angielskiego gentleman'a, dodaliśmy mu grubjaństwo, bośmy naszą pierwotną prostotę zatracili. Nasza wymowa — dodaje Moran — skarłowaciała; przyjęliśmy od Anglji zasób pojęć i słów, nie zrozumiawszy ich, i z bogatej retoryki obcej wytworzyliśmy piekielny potok słów ogłuszających.

Nasza kultura, nasze zwyczaje, nasze życie — woła panna Farrelly — to panowanie humbugu (blichtru oszukańczego). Panowie Moran i Russell, u których ten głos rozpaczy panny Farrelly znajduje oddźwięk, rzucają potępienie na całe stronnictwo narodowe Irlandji i oskarżają „polityków", że zaprowadzili zdziczenie obyczajów, wulgarność pojęć, bankructwo moralne i umysłowe całego życia narodowego.

Jeżeli w tej krytyce narodowej melodja jest szczerą i chwyta za serce, to akordy nieraz, któremi krytycy akompanjują głównej treści tego psalmu oskarżającego, są już zbyt głośne i gwałtowne. Bezwarunkowo politycy irlandzcy niejedną rzecz przeoczają, niejeden błąd popełnili, ale nie zasługują na to bezwzględne potępienie, jakie na nich rzucają epigoni dzisiejsi Młodej Irlandji.

Za to z życia wziętym jest obraz pustoty moralnej i umysłowej, która ogarnia mieszczaństwo i lud irlandzki. Te panny miejskie, usychające na czytaniu romansów z życia angielskiego i tęskniące do lordów, których nie znają, — ta młodzież, która pochłania epopeje o złodziejach i tajnych agentach policji śledczej — to fotografja życia umysłowego miast irlandzkich. A lud wiejski, który wstydzi się swej biedy irlandzkiej i łachmany swe

pokrywa blichtrem ulicznikostwa angielskiego! Albo owe dziewczęta wiejskie, wstydzące się nawet swych imion narodowych i nucące bezecne piosenki rynsztokowe, przywiezione przez włóczęgów londyńskich!

Wszystko to — mówią członkowie Ligi — to „obłok angielski“, ciężki i ciemny, który zawisł nad życiem irlandzkiem. Jak rozproszyć ten obłok? Jeżeli z Anglji — brzmi odpowiedź — tylko ciemności bierzemy, a światła tamtego nie widzimy, to dowód, że musimy z własnego życia prząść przędzę kulturalną, że musimy stworzyć własną kulturę.

W celu wytworzenia tej kultury nauka języka gaelskiego została uznaną, jako najlepsze narzędzie. Znajomość języka ma być kluczem do skarbca spuścizny narodowej, do legend i epopeji narodowej, do zabytków z przeszłości. Dawne stare pieśni, nucone przy oddźwięku harfy — instrumentu narodowego — wypędzą sprośne piosnki uliczne, wyuczone przy bezmyślnym turkocie katarynki. Literatura sromotna, fabrykowana na wielkim rynku wielkomiejskim, zastąpioną zostanie uprzystępnionemi wydaniami spuścizny narodowej. Zyska na tem moralność krajowa, nastąpi zdrowy rozwój wyobraźni czytelnika, wzmoże się uczucie obywatelskie a i charakter narodowy, mając możność klarownego skrystalizowania się, stanie się silnym i zdolnym do dalszego rozwoju.

Wprowadzając swój program w czyn, słaba jeszcze Liga zorganizowała „klasy gaelskie“ w Dublinie. Rozwój atoli tej działalności rozpoczął się na dobre głównie dzięki utworzonej w Londynie sekcji Ligi.

W Londynie skupiła się bowiem liczna falanga irlandzka z tak zwanej inteligencji, która nie mogła znaleźć zastosowania swych sił w kraju. Jedni z nich zajmują stanowiska skromne w prywatnych bankach lub kompanjach przemysłowych; inni są urzędnikami w różnych dykasterjach administracji angielskiej. Ta to przeważnie młodzież, czyniąc ciągłe porównania między stanem Anglji a nędzą Irlandji, odczuwała ból piekący na myśl o upośledzonem ojczyzny swej położeniu. Ona znała i zna zdrowe siły krajowe i pojęła dlaczego pomimo wszystkich dobrych chęci Erin pozostaje w tyle i z każdym dniem niemal traci siły do samoistnego rozwoju.

Wieczorami młodzież ta zbierała się tłumnie, i przejęta oświadczeniami Douglas Hyde'a, rzuciła się z zapałem do nauki języka celtyckiego. Stowarzyszenie londyńskie wyrobiło w krótkim czasie dzielne siły propagatorskie oraz skupiło niezbędne dla szerzenia języka siły nauczycielskie.

Zasobna teraz w personal nauczycielski Liga, postarała się rozszerzyć swój program wśród nauczycieli ludowych. Zrazu rząd dubliński stawiał się opornie żądaniu wprowadzenia języka celtyckiego, jako przedmiotu dowolnego, ale mogącego wchodzić w zakres przedmiotów, wybieranych przy egzaminach. Po długiej walce rząd ustąpił, tembardziej, że ilość szkół prywatnych, ale pobierających subwencję rządową, która wprowadziła wykład języka celtyckiego, okazała się znaczną.

Liga niezależnie zupełnie organizowała klasy wieczorne, a co ważniejsza: rodzaj zjazdów i konkursów zarówno okręgowych, jak i krajowych. Jednocześnie powstawały gaelskie towarzystwa muzyczne i gimnastyczne, które wskrzesiły dawne gry i tańce narodowe, popularyzując ballady narodowe. W końcu powstał teatr irlandzki, w którym z jednej strony mają miejsce przedstawienia sceniczne w języku angielskim utworów, opartych na tle historycznego lub społecznego życia Irlandji, z drugiej strony utwory w języku celtyckim.

Prasa polityczna w Irlandji dzielnie poparła ten ruch, poświęcając zwykle jedną szpaltę lub więcej artykułom lub utworom celtyckim. Zresztą ruch ten nie miał na celu wytworzenia stronnictwa politycznego; jego zadaniem było i jest moralne i intellektualne odrodzenie Irlandji. W ruchu więc gaelskim biorą udział protestanci i katolicy, skrajni i umiarkowani narodowcy, demokraci i uprzywilejowani, którzy nie przeczą potrzebie podniesienia ludu irlandzkiego.

Istnieje wprawdzie w ruchu gaelów frakcja, idąca dalej. Zarozumiałość po części jest główną cechą tej frakcji, która, sama nie posiadając programu, jest bezlitośną w krytyce wszystkich innych działaczy w kraju. Pod pozorem zwalczania „starych frazesów sentymentalnych“, „liberalizmu wycieńczającego“, „postępowości dezorganizującej“, — pod pozorem polityki „wzrastania w siły“, „rozszerzenia stanu posiadania“ i innych frazesów, przypominających kiwanie palcem w bucie, cała tradycyjna, demokratyczna praca polityczna w kraju jest wyśmianą i natomiast broni się tego, co jest w sprzeczności z zadaniami, będącymi na porządku dziennym. Gdy szło o reformę agrarną, skrajni gaelowie widzieli zbawienie w miastach, gdy rada miejska Dublina nie chciała oficjalnie przyjąć króla, panowie ci doradzali staranie się o posady rządowe i o hojność królewską, — gdy stronnictwo narodowe doradza umiarkowanie, polityka nieprzejednana jest

zachwalaną. Wreszcie, gdy ostatnimi czasy wśród protestantów irlandzkich szerzyć się zaczęła myśl pojednania się z katolikami w celu wspólnej obrony interesów krajowych, skrajni Gaelowie utworzyli „towarzystwo katolickie“ i wydali „podręcznik katolicki“ o tendencjach tak dalece sekciarskich, że arcybiskup dubliński publicznie potępił to rozbudzanie waśni religijnych. Nie ulega wątpliwości, że protestanci irlandzcy mają do zdania ciężki rachunek nietolerancji i ucisku, ale przyszłość kraju ważniejszą jest od odwetu za przeszłość, a interesy dzisiejsze nie dają się pogodzić z polityką, opartą na odgrażaniu się za grzechy przeszłe. Stronnictwo narodowe przyjęło wystąpienie arcybiskupa Walsha z entuzjazmem, bo właśnie niedawno jeszcze katoliccy przewódcy narodowi doznali gorącego ze strony dzierżawców protestanckich przyjęcia.

Wreszcie są i Gaelowie, którzy moralnego znaczenia języka celtyckiego i całego ruchu gaelskiego nie pojmują; forma dla nich zastępuje treść, — polityka zamienia się w maskaradę narodową. Do tych ostatnich należy młody lord Gibran, paradujący w kosztownym ubiorze góralskim. Jego naśladowcy zapominają o tem, że pokazując kolana nagie, jeszcze głów pustych nie zasłaniają, — zapominają o tem, że wystawiają na pośmiewisko ruch, którego znaczenie musi zależeć od powagi i rozwagi działaczy. Z chwilą, w której granice ruchu przekroczone zostaną, stanie się on pochodem karnawałowym do muzeów archeologicznych. Ujęty wszakże w granice, jakie mu zakreślili założyciele, przyczyni się on do spotężnienia takiej kultury, jaka jest niezbędną dla kraju rolniczego, który dopiero dziś pozbywa się ucisku feudalnego. *Sygma.*

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

PISMA.

Zeszyt lutowy *Muzeum* zawiera między innemi początek pracy dra A. Karbowiaka p. t. „Okruchy historyczno - pedagogiczne“, w których omawia autor „Konwikt szlachecki z czasów Komisji edukacji narodowej“, dokończenie pięknej pracy dra A. Danysza p. n. „Wychowanie a szkoła“ oraz długi szereg recenzji prac pedagogicznych polskich i obcych.

NOTATKI. *Oświata w Japonji.* Z powodu wojennego naprężenia stosunków między Rosją a Japonją poczyna się Europa interesować tem ostatniem państwem i przypatrywać jego wewnętrznemu życiu, które w ostatnich lat dziesiątkach wybujało aż do tego poziomu, na którym stoją najbardziej ucywilizowane narody świata. Ostatnio omawiają pisma żywo ogłoszone dopiero co sprawozdanie ministerstwa oświaty w Tokio o wzroście szkół w Japonji.

Ze sprawozdania tego wynika, że liczba zakładów naukowych w Japonji dochodzi do 30.000 i uczęszcza tam przeszło 5,200.000 uczących się: Szkolnictwo japońskie składa się ze szkółek początkowych wraz ze specjalnymi zakładami dla głuchych, ociemniałych (27.025), seminarjów nauczycielskich niższego i wyższego typu (54), gimnazjów męskich (242), gimnazjów żeńskich (70), szkół realnych (401), specjalnych szkół zawodowych niższych (57), i wyższych (8), szkół prywatnych różnego typu (1.474) i dwu uniwersytetów w Tokio i Kioto.

Uniwersytety japońskie obejmują w sobie zarazem politechnikę, gdyż obok wydziałów prawniczego, medycznego i literackiego, posiadają także wydziały technologiczne, fizyko-matematyczny i literacki, zorganizowane zaś zostały i urządzone na wzór europejski dopiero w r. 1877.

Ciekawe i bardzo charakterystyczne jest zestawienie ukończonych w latach 1877 — 1901 słuchaczy uniwersytetów japońskich stosownie do stanowiska, jakie później zajęli w społeczeństwie. Otóż w czasie tym ukończyło tam kompletne studja 4.505 słuchaczy i rozeszli się na następujące posady: nauczycieli szkół rządowych i prywatnych 884, inżynierów prywatnych 488, państwowych 802, urzędników sądowych i administracyjnych 705, urzędników instytucji prywatnych 210, adwokatów 98, lekarzy 426, wysłano za granicę, celem dalszego kształcenia się 351, niezajmujących określonego stanowiska 239, zmarło 302.

W zestawieniu tem uderza zupełnie odwrotny stosunek ukształtowania się zawodów, aniżeli naprzykład u nas. Naród żądny oświaty wytwarza najwięcej nauczycieli, żądny rozwoju ekonomicznego, najwięcej techników, a jak najmniej... adwokatów, podczas gdy w Galicji? —

Kodyfikacja prawa kanonicznego. Sfery watykańskie mają zamiar przystąpić do olbrzymiego dzieła kodyfikacji prawa kanonicznego. Zbiory prawa kościelnego, które stanowią po dziś dzień obowiązujący *„Corpus iuris canonici“* składają się też z dekretu Gracjana, który aż do dwunastego wieku stanowił jedyne źródło prawa kanonicznego i po dziś dzień używa ogromnej powagi, dalej t. z. *„Compilationes antique“* zbiór praw pogracjanowski i zbiory ustaw kościelnych wyszłych za panowania Grzegorza IX., Bonifacego VIII. i Klemensa V. Od tego czasu mimo mnóstwa zmienionych stosunków nikt o kodyfikacji prawa, które bądź co bądź w społeczeństwach dzisiejszych odgrywa ważną rolę, nie pomyślał.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

— Siemiradzki Józef prof. dr. Geologja ziem polskich, tom I. Formacje starsze do jurajskiej włącznie. Lwów. Nakład Muzeum im. Dzieduszyckich. 1903, 8-ka, str. 472.

— Tworzymir Jan. Polskie podania i powiastki dziejowe. Poznań. Nakład J. Leitgebra. 1904. 8-ka str. 160.

— Umiński Władysław. W nieznane światy, powieść współczesna, wyd. 2-gie. Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego. 1904. 8-ka, str. 239.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.